

**Simone
de
Beauvoir**
Nierozłączne

Z FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁA
REGINA GROMACKA

WSTĘP
MARGARET ATWOOD

WPROWADZENIE
SYLVIE LE BON DE BEAUVOIR

MARGINESY

Cet ouvrage, publié dans le cadre du Programme d'aide à la publication Boy-Żeleński, a bénéficié du soutien de l'Institut français de Pologne.

Książkę wydano dzięki dofinansowaniu Instytutu Francuskiego w Polsce w ramach Programu Wsparcia Wydawniczego Boy-Żeleński.

Les inséparables, Simone de Beauvoir

COPYRIGHT © Éditions de l'Herne, 2020

All rights reserved

INTRODUCTION © 2021 BY O.W. Toad, Ltd.

Reproduced with permission of Curtis Brown Group Ltd,
London, on behalf of O.W. Toad, Ltd.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY

Regina Gromacka

COPYRIGHT © INTRODUCTION TRANSLATED FROM ENGLISH BY

Adam Pluszka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY

Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Rozdział I

W wieku dziewięciu lat byłem bardzo dobrze ułożoną dziewczynką; nie zawsze taka byłem, we wczesnym dzieciństwie tyrania dorosłych przyprawiała mnie o tak wściekłe napady złości, że pewnego dnia jedna z moich ciotek oświadczyła całkiem serio: „Sylvie jest opętana przez diabła”. Wojna i religia powaliły mnie na łopatki. Natychmiast dałam dowód wzorowego patriotyzmu, depcząc lalkę bobasa z celuloиду *made in Germany*, za którą zresztą nie przepadałam. Wytłumaczono mi, że od mojej grzeczności i pobożności zależy, czy Bóg wybawi Francję: nie mogłam się wymigiwać. Chodziłam po bazylice Sacré-Coeur z innymi dziewczynkami, machając chorągwiemi i śpiewając. Zaczęłam się pasjami modlić i znajdowałam w tym przyjemność. Moją żarliwość podsycił ojciec Dominique, który był katechetą w Szkole Adelajdy. Ubrana w tiulową sukienkę, w czepeczku z irlandzkiej koronki na głowie przyjełam swoją pierwszą komunię: od tego dnia można mnie było stawiać za wzór do naśladowania moim

młodszy siostrze. Dostałam z nieba nagrodę, bo z powodu niedomagań serca mój ojciec objął posadę w Ministerstwie Spraw Wojskowych.

Tamtego ranka wszakże byłam niezwykle podekscytowana, zaczął się nowy rok szkolny; nie mogłam się doczekać powrotu do szkoły: lekcje uroczyste niczym msze święte, cisza korytarzy, łagodne uśmiechy nauczycielek; nosiły długie spódnice, wysokie gorsety, a odkąd część gmachu zmieniono w szpital, często przebierały się za pielęgniarki; w białych szatach zaplamionych na czerwono wyglądały jak święte i czułam wzruszenie, gdy tuliły mnie do piersi. W pośpiechu przełknęłam zupę i szary chleb, które zastąpiły przedwojenną czekoladę i białe bułeczki, z niecierpliwością czekając, aż mama skończy ubierać moje siostry. Wszystkie trzy nosiłyśmy szaroniebieskie paltka uszyte z prawdziwego oficerskiego sukna i skrojone dokładnie jak żołnierskie płaszcze.

„Spójrzcie, z tyłu jest nawet mała patka!” – mówiła mama do zachwyconych lub zdumionych przyjaciółek. Wychodząc z kamienicy, mama chwyciła oba maluchy za rękę. Smętnie minęłyśmy kawiarnię Rotunda, która właśnie hucznie się otworzyła pod naszym mieszkaniem i która, jak mówił tata, była jaskinią defetystów; zaintrygowało mnie to słowo: „To są ludzie, którzy wierzą w klęskę Francji – tłumaczył mi tata. – Powinno się ich wszystkich rozstrzelać”. Nie rozumiałam. Nie da się przecież wierzyć umyślnie: czy można być ukaranym za to, że jakieś pomysły przychodzą ci do głowy? Szpiedzy, którzy rozdawali

dzieciom trujące cukierki, i ci, którzy w metrze kłuli francuskie kobiety zatrutymi szpilkami, oczywiście zasługiwali na śmierć, ale co do defetystów nie byłam wcale pewna. Nie próbowałam podpytać mamy: zawsze odpowiadała tak samo jak tata.

Moje siostrzyczki nie chodziły szybko; żelazny parkan Ogrodu Luksemburskiego zdawał się ciągnąć bez końca. Wreszcie minęłam drzwi szkoły, weszłam po schodach, radośnie huśtając tornistrem wypchanym nowymi książkami; rozpoznałam lekki odór choroby pomieszany z zapachem pasty woskowej w świeżo wypucowanych korytarzach; wychowawczynie ucałowały mnie na powitanie. W szatni odnalazłam koleżanki z zeszłego roku, z żadną szczególnie się nie przyjaźniłam, ale lubiłam harmider, jaki wszystkie razem robiłyśmy. Zamarudziłam w wielkim hallu, przed gablotami pełnymi martwych staroci, które dogorywały po raz drugi: wypchane ptaki gubiły pióra, suche rośliny kruszyły się, muszle matowiały. Zabrzęczał dzwonek i weszłam do sali Świętej Małgorzaty; wszystkie klasy wyglądały tak samo. Uczennice siedziały wokół owalnego stołu przykrytego czarną ceratą, przy którym dominował nauczyciel; nasze matki sadowiły się z tyłu i obserwowały nas, dziergając kominiarki na drutach. Ruszyłam w stronę mojego taboretu i zobaczyłam, że miejsce obok zajęła nieznajoma dziewczynka: czarnulka, z zapadniętymi policzkami, wydała mi się znacznie młodsza niż ja, miała ciemne i błyszczące oczy, które uporczywie się we mnie wpatrywały.

– To ty jesteś najlepszą uczennicą?

– Jestem Sylvie Lepage – odparłam. – Jak się nazywałeś?

– Andréé Gallard. Mam dziewięć lat, wyglądam na mniej, bo ciężko się oparzyłam i niedużo urosłam. Musiałam na rok przerwać naukę, ale mama chce, żebym to nadrobiła. Mogłabyś mi pożyczyć swoje zeszyty z ubiegłego roku?

– Tak – odpowiedziałam.

Pewność siebie Andréé, jej szybki i precyzyjny sposób wysławiania się zbiły mnie z tropu. Przyglądała mi się nieufnie.

– Moja sąsiadka powiedziała, że jesteś najlepszą uczennicą – ciągnęła, lekkim ruchem głowy wskazując Lisette. – To prawda?

– Często bywam pierwsza – przyznałam skromnie.

Przypatrywałam się Andréé; czarne włosy opadały sztywno wokół twarzy, na podbródku miała plamkę atramentu. Nie co dzień spotyka się dziewczynkę, która się poparzyła, miałam ochotę zadać jej mnóstwo pytań, ale wkroczyła panna Dubois, długą suknią zamiatając podłogę; była to żwawa i wąsata kobieta, którą darzyłam wielkim szacunkiem. Usiadła i zaczęła wyczytywać nasze imiona, uniosła oczy na Andréé.

– Jak tam, moja droga panienko, nie czujemy się zbyt-
nio onieśmielone?

– Nie jestem nieśmiała, proszę pani – powiedziała spokojnym głosem Andréé i uprzejmie dodała: – Zresztą pani nie onieśmiela.

Panna Dubois zawahała się przez chwilę, po czym uśmiechnęła się pod wąsem i dalej sprawdzała listę obecności.

Koniec lekcji odbywał się wedle niezmiennego rytuału: nauczycielka stawała w drzwiach, każdej matce ścisnęła rękę i każde dziecko całowała w czoło. Położyła dłoń na ramieniu Andrée.

– Nigdy nie byłaś w szkole?

– Nie, do tej pory pracowałam w domu, ale teraz jestem za duża.

– Mam nadzieję, że pójdziesz w ślady twojej starszej siostry – powiedziała pani.

– Och! Bardzo się różnimy – odparła Andrée. – Malou jest podobna do taty, uwielbia matematykę, ja lubię przede wszystkim literaturę.

Lisette szturchnęła mnie łokciem; nie można powiedzieć, że Andrée jest bezczelna, ale nie był to właściwy ton rozmowy z nauczycielką.

– Czy wiesz, gdzie jest sala lekcyjna dla eksternów? Jeśli od razu ktoś cię nie odbierze, powinnaś tam usiąść i zaczekać – wyjaśniła pani.

– Nikt po mnie nie przyjdzie, sama wracam – odpowiedziała Andrée i skwapliwie dodała: – Mama już uprzedziła.

– Sama? – odrzekła panna Dubois i wzruszyła ramionami: – No cóż, skoro twoja mama uprzedziła...

Następnie pocałowała mnie w czoło i poszłam za Andrée do szatni; włożyła swoje paltko: mniej oryginalne niż

moje, ale bardzo ładne, z czerwonej ratyny ze złotymi guzikami; nie była ulicznym włóczęgą, dlaczego pozwalano jej wychodzić samej? Czy jej mama nie słyszała o zagrożeniu trujących cukierkami, zatrutymi szpilkami?

– Gdzie mieszkasz, moja droga Andrée? – zapytała mama, gdy szliśmy po schodach z moimi siostrzyczkami.

– Na ulicy de Grenelle.

– Ach tak! Odprowadzimy cię do bulwaru Saint-Germain – powiedziała mama. – To nam po drodze.

– Byłoby bardzo miło – odparła Andrée – ale proszę się dla mnie nie fatygować.

Spojrzała na mamę poważnym wzrokiem.

– Rozumie pani, jest nas siedmioro rodzeństwa; mama mówi, że powinniśmy umieć radzić sobie samodzielnie.

Mama skinęła głową, ale wyraźnie była temu przeciwna.

Gdy tylko znalazłyśmy się na ulicy, zagadnęłam Andrée:

– W jaki sposób się oparzyłaś?

– W czasie pieczenia ziemniaków przy ognisku, zapaliła mi się sukienka i miałam prawie udo spalone do kości.

Andrée zachnęła się niecierpliwie, nudziła ją ta stara historia.

– Kiedy będę mogła przejrzeć twoje zeszyty? Muszę wiedzieć, czego się uczyliście w zeszłym roku. Powiedz mi, gdzie mieszkasz, wpadnę do ciebie dziś po południu albo jutro.

Spytałam wzrokiem mamę, w Ogrodzie Luksemburskim zabraniano mi się bawić z nieznanymi dziewczynkami.

– W tym tygodniu to niemożliwe – powiedziała mama z zakłopotaniem. – Zastanowimy się nad tym w sobotę.

– Dobrze, zaczekam do soboty – odpowiedziała Andrée.

Patrzyłam, jak przechodzi na drugą stronę bulwaru w swoim paltku z czerwonej ratyny; była naprawdę ma lutka, ale szła pewnym krokiem, jak dorosła.

– Twój wujek Jacques znał jakichś Gallardów, którzy byli spowinowaceni z Lavergne'ami, krewnymi Blanchardów – mówiła rozmarzonym głosem mama. – Ciekawa jestem, czy to ta sama rodzina. Ale wydaje mi się, że porządni ludzie nie dopuściliby do tego, żeby dziewięcioletka wałęsała się po ulicach.

Moi rodzice długo sprzeczali się o najprzeróżniejsze gałęzie różnych rodzin Gallardów, o których kiedykolwiek zdarzyło im się słyszeć. Mama zasięgnęła języka u nauczycielek. Rodzice Andrée mieli z Gallardami od wujka Jacques'a jedynie jakieś nader niejasne powiązania, ale byli bardzo porządnymi ludźmi. Pan Gallard ukończył politechnikę, miał dobrą posadę w Citroënie i przewodniczył Lidze Ojców Dużych Rodzin; jego żona, z domu Rivière de Bonneuil, należała do wielkiej dynastii wojujących katolików i była niezmiernie szanowana przez parafianki u Świętego Tomasza z Akwinu. Najwyraźniej powiadomiona o rozterkach mojej matki, pani Gallard przysłała po Andrée w następną sobotę po zakończeniu lekcji. Była to piękna kobieta o ciemnych oczach, która na szyi nosiła czarną aksamitkę spiętą antyczną broszką; podbiła serce

mamy, mówiąc jej, że wygląda na moją starszą siostrę i nazywając ją „młodziutką panią”. Mnie nie spodobał się jej aksamitny naszyjnik.

Pani Gallard uprzejmie zrelacjonowała mamie męczeństwo Andrée: pobrużdżona skóra, ogromne pęcherze, opatrunki z ambryny, majaczenie Andrée, jej hart ducha; dobry kolega kopnął ją niechcący podczas zabawy i rany ponownie się otworzyły: tak bardzo starała się nie krzyknąć, że zemdląca.

Kiedy Andrée zjawiała się u nas w domu, żeby przejrzeć moje zeszyty, przyglądałam jej się z szacunkiem; robiła notatki ładnym, wyrobionym już pismem, a ja myślałam o jej obrzmiałym udzie pod plisowaną spódniczką. Nigdy nic równie interesującego mi się nie przydarzyło. Nagle doznałam wrażenia, że w ogóle nigdy nic mi się nie przydarzyło.

Wszystkie znane mi dzieci nudziły mnie, Andrée zaś doprowadzała do śmiechu, kiedy na przerwie spacerowałyśmy po rekreacyjnym dziedzińcu; cudownie małpowała zdecydowane ruchy panny Dubois i namaszczonego głos dyrektorki, panny Vendroux. Od swojej starszej siostry znała mnóstwo małych sekretów tego przybytku: nasze panie wstąpiły do zakonu jezuitów i dopóki były nowicjuszkami, czesały się z przedziałkiem z boku, ale gdy już złożyły śluby – z przedziałkiem pośrodku. Zaledwie trzydziestoletnia panna Dubois była z nich najmłodsza: maturę zdała rok wcześniej, starsze uczennice widziały ją na Sorbonie, rumieniącą się i strasznie zawstydzoną swoimi spódn-

cami. Lekko zgorszyła mnie bezceremonialność Andrée, ale uważałam ją za zabawną i chętnie jej odpowiadałam, kiedy improwizowała rozmowę naszych dwóch nauczycielek. Przedrzeźniała je tak umiejętnie, że nieraz podczas lekcji szturchałyśmy się łokciami, widząc, jak panna Dubois otwiera dziennik lub zamyka książkę; któregoś razu nawet dostałam takiego napadu śmiechu, że z pewnością wyrzucono by mnie za drzwi, gdyby całe moje dotychczasowe zachowanie nie było przykładne.

Kiedy początkowo chodziłam się bawić do domu Andrée, byłam oszołomiona; oprócz jej rodzeństwa przy ulicy de Grenelle zawsze roiło się od kuzynów i przyjaciół; biegali, krzyczeli, śpiewali, przebierali się, wskakiwali na stoły, przewracali sprzęty; czasami Malou, która miała lat piętnaście i zgrywała ważniaczkę, przerywała te harce, ale natychmiast słysząc było głos pani Gallard: „Daj się dzieciom pobawić”. Byłam zdumiona jej obojętnością na skaleczenia, guzy, plamy, stłuczone talerze. „Mama nigdy się nie złości” – mówiła mi Andrée z triumfalnym uśmiechem. Na koniec popołudnia pani Gallard wchodziła uśmiechnięta do pokoju, któryśmy zdemolowali, podnosiła krzesło, ocierała gąbką czoło Andrée: „Znowu cała jesteś mokra!?” Andrée tuliła się do niej i przez chwilę jej twarz się odmieniała: odwracałam oczy z zażenowaniem pomieszanym bez wątpienia z zazdrością, być może zawiścią i tym rodzajem lęku, jaki wywołują tajemnice.

Nauczono mnie, że powinnam jednakowo kochać mamę i tatę, Andrée nie ukrywała, że woli matkę od ojca.

„Tata jest zbyt poważny” – powiedziała mi któregoś dnia zupełnie spokojnie. Pan Gallard wprawiał mnie w zakłopotanie, ponieważ nie był podobny do taty. Mój ojciec nigdy nie chodził na mszę i uśmiechał się, kiedy rozmawiano przy nim o cudach w Lourdes; słyszałam, jak mówił, że wyznaje tylko jedną religię: miłość do Francji. Nie przeszkadzała mi jego bezbożność; mama, która była nadzwyczaj pobożna, zdawała się traktować to jak rzecz normalną, tak nadzwyczajny mężczyzna jak tata siłą rzeczy miał bardziej skomplikowane relacje z Bogiem niż kobiety i małe dziewczynki. Natomiast pan Gallard co niedziela chodził do komunii z rodziną, miał długą brodę, binokle i w wolnym czasie zajmował się pracą społeczną. Jedwabiste włosy i chrześcijańskie cnoty czyniły go zniewieściałym i umniejszały w moich oczach. Jednakże widywałyśmy go jedynie w rzadkich okolicznościach. W domu rządziła pani Gallard. Zazdrościłam Andrée swobody, jaką jej pozostawiała, ale chociaż zawsze zwracała się do mnie z największym taktem, czułam się przy niej nieswojo.